

Ballada o Afryce

22 stycznia 2021

Trudno w to uwierzyć, ale wbrew temu co sądziłem na początku, znacznie trudniej jest wrócić z Afryki, niż dostać się do zapomnianego i upadłego państwa w samym jej sercu – czyli Republiki Środkowoafrykańskiej.



Nieczęsto zdarzają się takie miesiące, że zamiast konstatować codzienność, latam sobie po całym świecie. Na początku grudnia Kaukaz, Armenia Republika Arcacha (Górski Karabach), by pod koniec miesiąca i aż do stycznia zostać w Afryce. Sporo czasu spędziłem w powietrzu, przemieszczając się między kontynentami. Szukając jedynie odpowiednich przesiadek. Z samolotu na samolot. Po powrocie z Azji, ledwo dotarłem do domu, pełen wrażeń z masywnego Kaukazu. Uwielbiam góry, dlatego zarówno masyw Karabachu jak i Południowy Kaukaz zrobiły na mnie piorunujące wrażenie.

Ale o tym będzie w drugiej części reportażu. Niespełna dziesięć dni po przylocie z Azji, dostałem kolejną propozycję. Tym razem wyjazd do Afryki, a konkretnie do samego jej serca, czyli Republiki Środkowoafrykańskiej, gdzie będą wybory i trzeba je obserwować. Chętnych specjalnie nie było, bo i święta i rejon bardzo niebezpieczny. Dla mnie jednak idealny.

Zgodziłem się bez specjalnej obaw i najmniejszego namysłu. Ucieszyłem jak cholera i – mimo trwającej tam wojny domowej – zacząłem przygotowania. Najpierw szczepienia od żółtej febry i badania PCR na COVID-19.

Wszystko to dosyć dużo kosztowało. Szczepienie trzysta złotych, a badania PCR pięćset. Obiecali zwrócić, więc zadłużyłem się i czym prędzej zapisałem się na te zabiegi. Z żółta febrą był problem, są wprowadzanie przychodnie medycyny podróży, ale nie przechowują szczepionek, zwykle zamawiają i trzeba czekać. Udało mi się znaleźć jeden punkt w Lublinie, gdzie dysponowali jedną, ostatnią ampułką tej szczepionki.

Lekarka namawiała mnie jeszcze na dziesiątki innych, kosztownych szczepień, ale nie mając kasy tylko ją zbywałem. Receptę na leki przeciw malarii wepchnąłem do kieszeni i zaraz „zgubiłem”.

Zaszczepili mnie 17 grudnia, szczepionka nabierała ważności po dziesięciu dniach. Lekarka wpisała, że dopiero będę mógł wjechać do RŚA 28 – a ja przecież wylatywałem 21 grudnia. Miałem już bilety.

Pomyślałem, że będę udawał idiotę, trochę liczyłem też, że nikt nie zwróci uwagi. I miałem rację. Podczas wszystkich lotów, granic, przesiadek – nikt nie chciał ode mnie żadnego zaświadczenia lekarskiego, czy tzw. „żółtej książeczki” ze szczepieniami.

Potem pakowanie, nie lada problem, w kraju zima – kurtki, swetry, ciepłe ubrania, żeby wysiąść na gorącej płycie lotniska w Bangui. Nie mogłem nadać do bagażu, bo zwyczajnie marzłbym w drodze, a w podręczny to trochę dużo. Zabrałem więc wersję „lekka zima” z kurtką, która po zwinięciu mieści się w kieszeni, trochę swetrów, bluzę i na zasadzie „zobaczmy na miejscu” wyruszyłem w trasę.

Najpierw Paryż, tam przejście do strefy pozaunijnej. Początkowo tłum, ponieważ czekaliśmy do rana, to usadowiliśmy

się w pobliżu palarni. Przed północą terminal był pusty, wszyscy już wylecieli, a w ogromnej hali było ledwie kilka osób, w tym Milenko – Macedończyk, który jak się okazało leciał razem z nami. Po ośmiu godzinach lotu, wreszcie wylądowaliśmy w stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej. Zeszliśmy bezpośrednio z trapu na płytę.

Lotnisko, to ledwie kilka, zбитych z desek, baraków wieże kontrolne przypominały myśliwskie ambony. Ale przede wszystkim powietrze. Jego zapach i uderzenie gorąca.

Afryka pachnie, jest to niepowtarzalny aromat, nawet miły. Pierwszy raz byłem na tym kontynencie, mógłbym jednak wysiąść z zawiązanymi oczami i gdyby ktoś zapytał „gdzie jestem”, bez wahania odparłbym – Afryka.

Specyficzna woń rozżarzonej czerwonej ziemi pomieszana z zapachami lokalnej flory.

Na te charakterystyczną barwę, zwróciłem już uwagę, gdy samolot zniżył lot, zobaczyłem, że ziemia jest czerwona. Podobno dlatego, że jest w niej wysoki procent żelaza. Na płycie „lotniska” – chociaż trudno nazwać to w ten sposób, ale gdy już wyszliśmy z samolotu, ludzie kierowali się do baraku, gdzie była kontrola celna. Nas wypatrzyła pewna Afrykanka w odpowiednim stroju, trzymała tabliczkę z naszymi nazwiskami.

Wyciągnęła nas z kolejki i zaprowadziła na parking. Zabrała kwitki od bagażu i paszporty, żeby załatwić wizę. A my pojechaliśmy z kierowcą do hotelu. Całkiem ładny budynek, chociaż już widać było, że zaczynał brać go grzyb, farba się łuszczyła, a jak się później okazało, gdy zapomniałem zostawić włączoną klimatyzację, to robił się potworny zaduch. Budynek nowy, zaledwie rok, a już wyglądał na wieloletnie użytkowanie.

Tam faktycznie, o czym mówił mi znajomy, bardzo szybko starzeją się domy. Myślałem, że to najlepszy hotel w mieście, bo standard wysoki i naprawdę czysto, a okazało się, że takich hoteli jest więcej. Do naszego, na basen mogli przychodzić

miejscowi i wykupując bilet pluskać się do woli. To jeszcze poprawiło mi nastrój, bo nie lubię tych hoteli „tylko dla”. Oczywiście był w Bangui i taki, ale tam zatrzymywały się delegacje innych państw europejskich, my zasiedliliśmy ten, gdzie były reprezentacje kilku głównych organizacji afrykańskich – Unii Afrykańskiej i Wspólnoty Gospodarczej Państw Afryki Środkowej.

To już zupełnie mnie uradowało. Po porządnym odpoczynku, rankiem następnego dnia pojechaliśmy oglądać komisje wyborcze i poznawać zasady głosowania, gdy w pewnym momencie nasz przewodnik – Kameruńczyk, potem zresztą świetny kolega, odebrał telefon.

Szybko nas pozbierał, powiedział, że rebelianci zajęli część miasta i musimy uciekać. Zapytał mnie czy mam broń. Zrobiłem wielkie oczy, wytłumaczyłem, że jak mógłbym mieć wsiadając do samolotu, podczas tych wszystkich kontroli. Podjechał więc najpierw do ogrodzonej murem i zasiekami twierdzy – w Bangui wszystko jest ogrodzone murem, zabrał Makarovy i pojechaliśmy do hotelu po rzeczy. Musieliśmy zabrać wszystko, bo nikt nie wiedział czy i kiedy tam wrócimy. Warunki polowe, trochę koszarowe, jak to w tego rodzaju twierdzy.

Chociaż „twierdza” to po prostu szumna nazwa większego budynku, w którym było dużo broni, amunicji i zasieki na murze.

Gdyby nie to, wyglądał jak zwykły, większy dom. Było kilka takich. Głównie urzędy czy ambasady. Nie wyglądały imponująco. Placówka kanadyjska, która była w samym centrum miasta, sprawiała wrażenie niechlujnej, zapuszczonej i częściowo obdartej z tynku budowli.

Czekaliśmy kilka godzin, szykując się na to, że zamiast hotelu resztę dni spędzimy w tych cywilnych koszarach, ale po kilku godzinach dotarła wiadomość, że to był jedynie rajd rebeliantów na trzy dzielnice.

Wjechali na motocyklach strzelając gdzie popadnie, żandarmeria w panice odpowiedziała ogniem, gdy jednak przyjechało wojsko, to momentalnie wyparli najeźdźców. A my wróciliśmy spokojnie do hotelu.

Kolejne dni, to poznawanie topografii, kandydatów, systemu wyborczego i spotkanie z głównym doradcą obecnego prezydenta i jednocześnie kandydata na to stanowisko, czyli Faustina Archangela Taudèry.

Minister Albert Yalokè Mopkème przyjął nas w swoim mieszkaniu. Dom nie wyróżniał się od innych w okolicy. Niewielki, parterowy budynek, bez żadnych oznak luksusu. Ogrodzony murem, zamiast drutów kolczastych na jego szczycie było rozłożone potłuczone szkło. Stojące butelki tzw: „tulipany” chroniły obejście przed napastnikami. Poza jednym człowiekiem, nie widziałem też ochrony, może byli w głębi domu. Tuż pod bramą, podobnie jak pod hotelem rozłożył się niewielki biedabazarek.

Tam każdą wolną przestrzeń natychmiast zajmują sprzedawcy „wszystkiego”. Już po kilku dniach pobytu znałem wielu handlarzy spod naszej, hotelowej bramy.

Kolejne dni zleciały na zwiedzaniu komisji, w dniu wyborów poleciliśmy we trzech, plus pilot małą, jednosilnikową cesną w odległe zakątki kraju. Samolot był fantastyczny, tak mnie zauroczył, że po kolejnym lądowaniu – oczywiście na klepisku, bo lotnisk jako takich było niewiele, a z asfaltowymi pasami nie widziałem żadnego. Postanowiłem pogadać z pilotem, czy nie pozwoliłby mi przez chwilę sterować tym powietrznym „motorowerem”. Jak się okazało, nie było problemu, młody chłopak zgodził się bez namysłu. Szczęśliwy zaliczyłem pierwszy lot, potem jazdę przez dżunglę motocyklami. Po trzech na jednym.

Wybory dobiegły końca, wygrał dotychczasowy prezydent Faustin Taudéra. Początkowo komisja ogłosiła, że zdobył 53.9 procent głosów, jednak po protestach, które złożyli chyba wszyscy

kandydaci odrzucono głosy z dwóch miast, ale i tak utrzymał przewagę 53.3.proc.

Na tym nasza rola się skończyła. Wylecieliśmy z Bangui siódmego stycznia. Jak już wspomniałem, znacznie trudniej wracać do kraju, niż gdzieś lecieć. Nawet jeśli lecę w niewiadomą, gubię na lotniskach, to w Afryce chciałoby się zostać. Ale czas minął, zygzałem przez Kamerun, Etiopię do Londynu, tam okazało się, że skasowali wszystkie połączenia z Polską. Dwie doby w hotelu załatwionym dzięki pomocy i też przy pomocy znajomych udało się kupić bilet przez Dublin. Z Londynu do Dublina i Dublina do Polski. Dziesięć dni kwarantanny, akurat, żeby dojść do siebie. Prawdę mówiąc przespałem ten czas. Cała wyprawę, ze wszystkimi szczegółami, zrelacjonuję w fotoreportażu, który właśnie piszę. Dużo zdjęć, jeszcze więcej wrażeń. Po ostatnim odcinku z Kaukazu, będzie seria o Afryce. Do przeczytania.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info